№ 43. Warszawa, dnia 11 (23) Października 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie s.r 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 5, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

KOBIETY HISTORYCZNE.

PRZEZ

L. S. W.

LUDGARDA I LUDMIŁA.

(Dokończenie.)

Drugą ofiarą zazdrości w rodzie nad dawną Polską niegdyś pnnującym była o kilkadziesiąt lat później księżna Ludmiła, żona Ziemowita III mazowieckiego.

Pomiędzy nią i Ludgardą dziwne podobieństwo, i los podobny i pochodzenie imiona i stanowisko. Jak Przemysław niegdyś, tak i Ziemowit III-ci (1355 — 1381 r.) był najpotężniejszym z książąt udzielnych swego czasu; jak Przemysław, tak i Ziemowit dobijał się korony polskiej, a po śmierci Ludwika był bardzo blizkim jej osiągnięcia, bo go już polacy królem byli okrzyknęli. Dziwne, zaprawdę, bywają w historyi powtarzania się i podobieństwa...

Ludmiła Elżbieta była, podobnie jak Ludgarda, pochodzenia słowiańskiego, prawdopodobnie z rodu książąt Ziembickich na Szlązku, córka Władysława czy Bolesława i Anny heskiej. Została żoną Ziemowita, księcia Mazowsza, około 1360 r. Jak niegdyś Przemysław z Ludgardą, tak i Ziemowit z Ludmiłą żyli już lat z dziesiątek i doczekali się kilku synów, gdy demon zazdrości wkroczył do rodziny książęcej.

Małżonkowie byli w Cieszynie w odwiedzinach u księżnej Salomei, siostry Ziemowita. Tu ni ztąd ni zowąd zaczęły dochodzić do uszu księcia wieści, uwłaczające dobrej sławie księżnej. Mówiono, że Ludmiła pozostawała w stosunku miłosnym z podczaszym swego dworu Dobkiem; Ziemowitowi pierwszy o tem doniósł Przemysław, jego siostrzeniec, syn Salomei. Podczaszy Dobek księztwu nie towarzyszył, lecz pozostał na Mazowszu. Zaślepiony zazdrością Ziemowit wysłał do kraju rozkaz uwięzienia Dobka, ale ten zdołał skryć się i umknąć w sam czas: doniesiono księciu, że Dobek ruszył na pielgrzymkę do Ziemi Świętej.

Ucieczka ta wzmocniła jeszcze podejrzenie Ziemowita. Rozkazał wziąć na tortury służące księżnej, a gdy te wyznały na mękach wszystko, czego od nich chciano, Ziemowit uwięził żonę na zamku rawskim i tam ją wkrótce kazał udusić. Taki sam los byłby niezawodnie spotkał dziecię, które wtedy właśnie księżna wydała na świat, gdyby księżna Salomea nie ukryła niemowlęcia, był to syn, ochrzczony imieniem Henryka.

W lat kilka po śmierci księżnej Ziemowit dowiedział się, że Dobek pokryjomu wrócił na Pomorze. Kazał go więc śledzić i pochwycić. Przywieziony do Płocka, nieszczęśliwy podczaszy obstawał przy swojej i księżnej niewinności, ale zapamiętały książę głuchym był na wszelkie usprawiedliwienia: uderzył Dobka w twarz, a następnie kazał stratować go końmi.

Wtedy dopiero pokazało się, że mniemany Dobek był... przebraną kobietą! Co więcej, około tegoż czasu stanął przed Ziemowitem niejaki ksiądz Rajmond, franciszkanin i zaręczył słowem kapłańskiem, że osoba, która niegdyś rzuciła podejrzenie na nieboszczkę Ludmiłę, na łożu śmiertelnem przyznała się przed nim do oszczerstwa.

Dowody to były wystarczające: uległ im Ziemowit i gorzko pożałował swego okrucieństwa nad niewinnemi ofiarami swej zazdrości. Począł sypać hojne datki na jałmużny i dla kościołów, uposażał księży i fundował klasztory; tem rozbroił gniew duchowieństwa, gdyż ze strony Kościoła nie spotkała go żadna kara za przelaną niewinnie krew dwóch ofiar, a w owych czasach jedynym w takim wypadku sądem na panujących, sądem częstokroć surowym i nieubłaganym, był Kościół, biskupi i papież.

Żeby choć w małej cząstce wynagrodzić swą winę, Ziemowit zajął się wyszukaniem zaginionego dziecięcia i to mu się powiodło: uznał odnalezionego Henryka i przeznaczywszy go do stanu duchownego, chciał potem uczynić biskupem płockim. Życie owego Henryka obfitowało także w przygody dziwne, chociaż nie tyle już tragiczne, co okoliczności, które towarzyszyły jego urodzeniu: młody ksiądz bowiem nie okazywał wielkiego powołania do stanu duchownego, lecz natomiast zakochał się w jednej z córek Kiejstuta, księcia Litwy, ale to już do naszego opowiadania nie należy.

Takie były losy nieszczęśliwej Ludmiły i niewinnego Dobka. Dzieje te stwierdzają raz jeszcze, że rzeczywistość dziejowa nieraz może prześcignąć najbujniejszą fantazyą poetycką i że w historyi mamy prawie wszystko, co tylko dziać się mogło, tak że poeci i powieściopisarze mogliby czerpać jedynie z tego źródła, nie wysilając się na zmyślone pomysły. U nas księżna Ludmiła nie doczekała się jeszcze godnego siebie poety ani powieściopisarza, któryby zaklął jej dzieje w kształty artystycznego dzieła. Musiały jednak te dzieje być bardzo głośnemi, skoro skorzystali z nich poeci dalekiego zachodu. Według bowiem zdania przeważnej części krytyków i uczonych, treść dramatu Szekspira, zatytułowanego „Baśń zimowa", stanowią właśnie losy nieszczęśliwej księżnej mazowieckiej. Treść tej sztuki, w której, jak często u Szekspira, wzniosła akcya i wierna charakterystyka przeplatane są trywialnością, a wdziwolągach geograficznych, anarchizmach, mieszaninie chrześciaństwa z mytologią pogańską i niestosownych imionach osób działających, jakiś chaos fantastyczny przygłusza i zasłania zasadniczą szczyptę historyczności, treść ta jest następująca:

Leontes, król Sycylii, posądza swoją żonę Hermionę, (która w scenie 2-ej aktu 3-go mianuje siebie „córką cesarza Rossyi") o nieprawe stosunki z Polyxenesem, królem Czech, serdecznym swym przyjacielem i towarzyszem młodości, z którym częstokroć odwiedzali się wzajem.

Pod wpływem tej nieuzasadnionej zazdrości, król zaczyna wątpić, czy syn jego Mamillus jest istotnie jego dzieckiem i nakazuje jednemu ze swych dworzan, Kamillowi, zgładzić ze świata Polyxenesa, który wtedy bawił u nich w gościnie. Kamillo nie usłuchał, lecz ostrzegł króla czeskiego i uciekł z nim razem. Uważając tę ucieczkę za potwierdzenie swych posądzeń, zazdrosny Leontes każe uwięzić żonę i stawić ją przed sądem, oskarżając ją o wiarołomstwo. Sędziowie, ażeby wyjść z kłopotliwego położenia, chętnie zgadzają się na prośbę Hermiony, która odwołała się do bożka Appollina. Posyłają do Delf po wyrocznię: Pitya oświadcza, że królowa niewinna. Leontes żałuje, że dał unieść się szalonej zazdrości, ale zapóźno: królowa bowiem ze wzruszenia pada bez życia, a nadto donoszą królowi, że jedyny jego syn i następca Mammillus zmarł, zmartwiony losem matki. Świeżo urodzoną córeczkę Perditę (Stracona), odepchniętą przez Leontesa, wychowuje w ukryciu stary owczarz. Na tem jednak nie kończy się wszystko, gdyż okazuje się później, że Hermiona nie umarła, lecz przebywała w ukryciu u swej wiernej przyjaciołki Pauliny, która następnie godzi Leontesa z żoną przygotowawszy go zawczasu do jej widoku, jako niby posągu zmarłej, wykonanego brzez genialnego artystę. Posąg nabiera życia i Hermiona pada w objęcia żałującego małżonka. Stało się to już w lat wiele po katastrofie, gdyż tymczasem Perdita wyrosła na śliczną pannę, a Eloryzel, syn Polyxenesa, spotkał ją i pokochał. Sztuka więc kończy się powszechną zgodą i zadowoleniem: umarli zmartwychwstają, z wyjątkiem Mamillusa i nikt nie ginie.

Przytoczyliśmy tę treść dla wykazania, że trudno zaręczyć, czy istotnie za przedmiot do tej sztuki posłużyły Szekspirowi dzieje naszej księżnej mazowieckiej. Według naszego zdania, niewiele tu podobieństwa do opowiedzianych powyżej wypadków historycznych; a zresztą zazdrość małżeńska, posądzenia, oskarżenia, uwięzienie mniemanej wiarołomnej, odepchnięcie dziecka i t. d. wszystko to objawy dosyć częste i pospolite, w rodzinach królewskich, zarówno jak pod strzechą słomianą, we wszystkich epokach i u wszystkich narodów. Tego więc wszystkiego Szekspir nie potrzebował może brać koniecznie z dziejów Mazowsza, tem bardziej, że oprócz owego wzmiankowanego wyżej pochodzenia Hermiony i tytułu czeskiego króla Polyxenesa, żaden ze szczegółów sztuki nie ma w sobie nic słowiańskiego, żaden rys Polski nie przypomina.

Do Poetki.

O! nie zagłębiaj twych źrenic czystych,
W przepaściach wstrętnego kału,
Podnieś je raczej do sfer gwiazdzistych,
Gdzie płonie blask ideału.

Niech bezlitośnie myśliciel blady,
Wypala gangreny plamy,
Ty jako anioł idź w jego ślady,
Do ran przykładaj balsamy.

Na dzikiej skale jak orzeł krzykiem,
Niechaj pierś męzka wybucha,
Ty w cichem gniazdku śpiewaj z słowikiem,
I orzeł słowika słucha.

I niech pieśń twoja pomiędzy niebem
A ziemią, ciągle ulata...
Dla ziemi, pociech niech będzie chlebem,
W niebie, modlitwą ze świata.

A. F.

MICHAŁ DUNIAK.

NOWELKA

Maryi Konopnickiej.

(Dokończenie.)

Nagle popchnięty z tyłu, na lód twarzą padł, puszczając z ręki łuczywo, którego płomień zatoczył wielkie, czerwone koła, smolnych iskier pełne.

Mowsza skokiem dzikiego zwierza na dziecko się rzucił i dusić je począł.

Biedactwo wołało na pomoc Franka, potem ojca. Ojciec daleko był, a Franek na lód z tratwy skoczywszy, stał cały naprzód podany, z sinemi pręgami na czole, ze świszczącym oddechem w piersiach, chłonąc w siebie wszystkiemi zmysłami ohydną scenę mordu.

Chłopiec gasnącym głosem jęczał ciszej coraz: przytomność już tracił, chciał przymknąć oczy, żeby nie widzieć tej okropnej, rozczerwienionej twarzy żyda nad sobą, ale nie mógł, przez chwilę zdawało mu się, że wszystkie gwiazdy spadają na ziemię, tyle iskier obaczył i tyle szumu posłyszał... i zdawało mu się, że wszystkie dzwony w miasteczku na gwałt biją. Gorącość jakąś poczuł w piersiach i w gardle, wyprężył się... różowa piana pokazała się na ustach... konał.

Parobek rzucił żydowi worek, którym ten chłopca głowinę okręcił, nie wpierw jednak puszczając rękę, jak szpony wszczepioną w delikatną szyję dziecka, aż konwulsyjne drgania drobnego ciała, słabnąc coraz, zupełnie ustały.

Podniósł się wtedy, w łunach krwawych cały i rękawem otarł z czoła pot, który też krwawym mógł być.

Potem schylił się, oderwał od brzegu tratwy ręczyny chłopca, który padając chwycił się go nieprzytomnie; trupa w przerembel stoczył, a podniósłszy z ziemi żerdź długą, daleko go pod lodem na środek rzeki odepchnął.

Noc była cicha i piękna. Srebrne mgły niosły się w blaskach księżyca nad ziemią. Pies tylko wartownika jakby przerażony, skowycząc ścicha rzucił się na pierś śpiącego. Szymek miał sny jakieś różowe... na wznak rozwalony, z przechyloną w tył głową, w pijanej drzemce bełkotał:

— Ej Maryś!... a nie mówiłem?

Poczem na drugi bok się przewróciwszy, głośno chrapać począł.

W farbiarni tymczasem, bębniąc z uśmiechem po stole białemi palcami dużej swojej ręki, Szajnerman obliczał przegraną, Uriel siedział jak na szpilkach.

Miał on zamiar dziś właśnie chłopca swojego odwiedzić, gość ten popsuł mu wszystkie szyki. Od soboty nie widział już dziecka, tęsknota wzbierała mu w piersiach jakąś gorącą falą, niespokojny był i zdawało mu się, że duszę jego niezmierny ciężar przygniata.

Wreszcie nie mogąc dotrwać, wyszedł z izby zobaczyć, jak mówił czy parobek latarnię zagasił.

W szopie było już ciemno. Franek leżał na słomie z szeroko otwartemi oczami, oddychając ciężko, jak w gorączce.

Farbiarzowi pytającemu coby mu było, odpowiedział, że febrę ma i otulił się kożuchem, odwracając głowę od smugi księżycowego światła, które przez drzwi uchylone do szopy wpadało.

Gdy starszy kahału głosy rozmawiających posłyszał, zbladł i za poręcz krzesła się chwycił, poczem, tłomacząc się przed Haną chwilowym zawrotem głowy, gospodarzy pożegnał i do miasteczka spiesznie powracał.

Kiedy nazajutrz zrana, Hersz stary, po chłopca ze szlabanu do farbiarni przysłał, chwycił się Uriel za głowę i jak szalony do mostu pobiegł.

Koło północy dopiero powrócił milczący, śmiertelnie blady, pochylony, lecz spokojny.

Był to spokój rozpaczy, która już niczego nie spodziewa się w życiu. O chłopcu ani jednem słowem nie wspomniał. Zdawało mu się, że sercu własnemu głęboką mogiłę wykopał i ciężkim przywalił je kamieniem.

Mieszkańcy miasteczka wzruszyli się niezmiernie wieścią o zaginieniu Michałka.

Była nawet taka chwila naprężenia ciekawości publicznej, że policyant Nr. 1, Józef Kos, cały tydzień kartofli nie skrobał w municypalnej kuchni,

tylko wałęsał się po mieście zbierając coraz to osobliwsze wieści, które za pośrednictwem panny Maryanny, kucharki, dochodziły do uszu pani burmistrzowej, wielce lubiącej wszelkie niezwykłe, romantyczne przygody.

Pan burmistrz nawet, wyrwany z swojej wygodnej, administracyjnej drzemki, przetarł maleńkie oczki, którym zwycięzki rozrost policzków, zupełną groził zagładą, a wysłuchawszy opowiadania, w którem jednocześnie brały udział: pani burmistrzowa, dwie panny burmistrzówny, pani aptekarzowa, dama mocna w słowie, oraz Maryanna, wnosząca tacę z przyborami do kawy, jako głęboki psycholog oświadczył, że farbiarz chłopca „zagałuszył.”

Poczem przybrawszy się w mundur, w nieposzlakowanie urzędowym stylu raport napisał, starannie go złożył i do sądu odesłał.

Skutkiem tej to właśnie gorliwości, godnej nietylko pochwały, ale nawet maleńkiego jakiegoś awansu, lub chociażby gratyfikacyi, Uriel wezwany przez prokuratora, przez dwa czy trzy miesiące w domu badań siedział i tylko „dla braku dowodów” wypuszczonym został. Na pochwałę kahału powiedzieć nam trzeba, że jakieś starania robił podobno za uwięzionym.

Było to wiele z jego strony; tem bardziej, że w czasach tych mocno był zajęty obradami nad przybudowaniem nowej galeryi w bóżnicy. Entreprenerem był Mowsza.

Tak nadeszła wiosna.

Sprawa Michałka wstrząsająca niedawno jeszcze miasteczkiem ucichła. Ludzie gadali o niej zrazu dużo bardzo, później mniej coraz, wreszcie na przedmieściu zapaliła się stara stodoła a wypadek ten odwrócił ostatecznie uwagę mieszkańców miasteczka w całkiem inną stronę.

Marzec był cudownie ciepły w tym roku. Słońce po długich ostrych mrozach uderzyło w ziemię całą siłą swych ożywczych promieni. Lody pękły, kry nawałem przeć się poczęły.

Nad rzeką przeciągało ptastwo dzikie, razem z ciepłemi powiewami wiatru.

Uszczęśliwiony Niemiec przyleciał po swoje tratwy.

— Zum Teufel! nie zawsze jednak zima jest w tej Polsce.

W dniu w którym retmanka, jak drobna jaskółka, puściła się z biegiem wody na zwiady, na moście pełno było publiki, złożonej po największej części z wyrostków, która głośnemi okrzykami żegnała ruszające się tratwy.

Na pierwszej z nich wiosłował Szymon Dopadnik, który wyjątkowo w dniu tym prawie zupełnie był trzeźwym.

Podpływając pod most, czapkę w górę wyrzucił i w powietrzu ją chwycił. Widzowie odpowiedzieli wybuchem śmiechu i okrzyków.

Kiedy jednakże wody odsłoniły się zupełnie, spostrzeżono biały jakiś przedmiot, unoszony z biegiem rzeki, nieopodal od lewego brzegu.

Rzucono się do łodzi i w godzinę potem wyciągnięto na ląd trupa młodego chłopca. Zbiegli się ludzie, nikt jednak poznać go nie mógł. Twarz była zmieniona, straszna prawie... woda wyżłobiła na niej mętne swoje drogi, źrenice głęboko zapadłe, nie przypominały żadnego znanego spojrzenia, usta otwarte żwiru były pełne. Tłum obojętny stał i patrzał u brzegu, gdy nagle rozległ się krzyk przenikliwy, ostry, rażący...

Uriel Goebel, blady, bez pamięci, roztrącając wszystkich, do topielca się rzucił, a rozerwawszy na nim koszulę, odkrył zczerniałe i zgniecione piersi dziecka, na których był zawieszony mosiężny, zaśniedziały krzyżyk.

Dotknąwszy go ręką, żyd zatoczył się i padł bez zmysłów.

Topielcem był Michał Duniak.

Przy bliższem zbadaniu trupa, dostrzeżono ślady ciężkich obrażeń na ciele, powstały różne domysły, ciało chłopca zabezpieczono na brzegu aż do zejścia sądu.

Tymczasem w przypatrującym się tłumie powstał spór, gdzie należy pochować chłopca.

Wiedziano, że Michałek żyda wychowańcem był, że szabas obchodził; może być, że wiedziano coś więcej jeszcze, krzyżyk ten jednakże wskazywał, że dziecko ochrzczonem było. Zdania się dzieliły większość akceptowała mogiłę na rozstajnych drogach, do której śmierć ta niezwykła, tragiczna, dawała też kwalifikacye pewne.

W tłumie tym, spierającym się o grób nieszczęśliwego chłopca, stał jakiś dziad siwy z sakwami na plecach i bacznie rozmów tych słuchał.

A gdy ludzie rozchodzić się poczęli i on też na kiju swoim wsparty, ku Majdanom leśnym się powlókł.

Nadeszła noc. Dwóch wartowników pilnowało toppielca nad rzeką. Jednym z nich był Franek, który od godów farbiarnię rzucił, a kupiwszy sobie brykę i parę koni, na furmanki się żydom z miasteczka najmował.

Rzeźwiąc się ze snu jedną i drugą miarką wódki, wartownicy spostrzegli rzecz dziwną.

Oto w opuszczonej od lat tylu Duniance, błysnęło światło... zagasło... i znów błysnęło...

Drzwi zaparte poruszyły się, i zwolna otwarły, a w nich ukazał się wyniosły starzec, w nędznem, prawie żebraczem odzieniu.

Frankowi zdawało się, że go ktoś za gardło ściska.

Starzec próg przestąpił i szedł zwolna ku nim z czołem odkrytem i tonącem w blaskach miesięcznych. Jego siwa rozwiana broda zlewała się ze srebrnemi tonami kryształowej nocy, twarz blada i ku niebu zwrócona, czyniła go podobnym jakiemuś sennemu zjawisku.

Gdy niedaleko już był, tak że rysy jego rozpoznać można było, Franek zerwał się i z krzykiem do miasteczka uciekać począł.

Starzec ani przyspieszył, ani zwolnił kroku.

Szedł, jak idzie konieczność: cichy, poważny, surowy, a idąc mówił głośno: „Ojcze nasz”...

Przystąpiwszy, schylił się, podjął krzepko z ziemi topielca i zawrócił ku lasowi, łącząc modlitwę cichszym i jakby konającym głosem...

A za nim leciały szumy rzeki, rozdźwięków pełne i starć niepogodzonych i wieczystego zatargu.

KONIEC.

TEODORA

KOMEDYANTKA I IMPERATOROWA.

DRAMAT HISTORYCZNY W 5 AKTACH.

PRZEZ

Watts Phillips, Esquir.

PRZEKŁAD

J. B.

AKT CZWARTY.

(Dalszy ciąg.)

KREON (cofając się nieco). I ty mógłbyś kochać tę kobietę?

FILIP. Głos natury jest głosem miłości.

KREON. Nie, to niepodobna; sam widok tej okrutnej istoty przywodzi mnie do szaleństwa i krew rozpala. (Do Teodory.) Szalona nędznico! nie popychaj mnie do ostateczności. (Gdy robi ruch jakby chciała go błagać.) Wspomnij na przeszłość i zadrżyj.

TEODORA (zmieniając postawę). Drzeć i myśléć o przeszłości!... A cóż dla mnie jest przeszłością? Nie obawiam się spojrzéć po za siebie, bo zawsze jeszcze jestem żoną Cezara... Jeżlibym myślą sięgnęła w przeszłość, to tylko dla przypomnienia sobie jak pierwszy, który piastował tę najwyższą godność, umiał zachować dostojną i dumną postawę, nawet pod ciosami morderców. On padł jak mąż, jak monarcha, jego biorę sobie za wzór.

KREON. Chciałbym cię ocalić, Teodoro... tak pragnę tego. (Po chwilowem wahaniu.) Chodź za mną!

TEODORA (cofając się). Gdzie i w jakim celu?

KREON. Abyś uznała wobec zwycięzkiego ludu, twego i mego syna. Uczyń to, inaczej przysięgam na wszystko czego obawiamy się w niebie lub cenimy na ziemi, musisz umierać. (Zgiełk i tłum się zwiększa.) Decyduj się śpiesznie; wybieraj między życiem a śmiercią.

TEODORA (z bezgraniczną dumą). Więc wybieram śmierć ze wszelkiemi męczarniami jakiemi wściekłość twoja potrafi ją otoczyć, bo wiekuistego nawet życia nie chciałabym okupić poniżeniem.

FILIP (błagalnie). Ojcze!

TEODORA. O! nie obawiaj się o życie moje, pomimo zdrady i zuchwalstwa jego, ręka zadrżałaby mu olśniona blaskiem korony wieńczącej moją głowę.

KREON. Tak sądzisz?... Słuchaj!

(Wrzawa w głębi się zwiększa.)

TEODORA. I cóż to znaczy! Wybryk tych zmiennych niewolników może zachwiać tronem, ale rzadko kiedy zdoła go obalić. Wczoraj padali na twarze przed tym pałacem, którego murom dziś grożą, a jutro, gdyby silna dłoń bicz im pokazała, padliby na kolana, tarzając się w prochu. Wiem dobrze, iż są dzicy i okrutni jak dra-

pieżne zwierzęta, ale zarazem tchórzliwi jak antylopy.

HIERAX (ukazując się w końcu galeryi). Kreonie!

KREON. Z czem przychodzisz?

HIERAX. Lud szemrze domagając się Kreona; wojsko gotuje się do nowego szturmu.

KREON. Idę natychmiast. (Do Ebala.) Pilnuj tej kobiety.

TEODORA (odskakując od chcących ją uchwycić). Kreonie! (Oddalającego się, zatrzymuje za rękaw.) Nie proszę o litość, ale żądam, aby obchodzono się ze mną jak z cesarzową.

KREON (zatrzymując się). Ty cesarzową!... a tak ale cesarzową cyrkową, z papierowym dyademem i blaszanem berłem. Ja to wywiodłem cię z nizkiego twego stanowiska i zbudowałem gmach twej wielkości, na który padło tysiące przekleństw ludzi znieważonych i skrzywdzonych przez ciebie. (Do Ebala.) Pilnuj jej! (Do Filipa.) Weź tę szpadę. Czyny dzielnego męża same przemawiają za nim. Chodź!

TEODORA (żałośnie, chwytając za rękę Kreona). Kreonie! Kreonie! Nie zostawiaj mnie z tymi strasznymi ludźmi, nie każ mi umierać w tych czarnych otchłaniach. Chcę umierać wśród jasnego dnia, aby wszyscy widzieli jak wielką jest odwaga kobiety, gardzącej śmiercią. (Trzymając gosię.) Dozwól swej ofiarze, aby sama sobie grób wybrała. Jestem cesarzowa Teodora. Pragnę, aby Konstantynopol stał się moją urną grobową, aby świat obrócony w perzynę zmieszał się z mojemi popiołami. (Podnosi głos w rozpaczliwem wezwaniu.) Kreonie! Kreonie! ty nie możesz pozostawić mnie w tych ciemnościach i grobowem milczeniu. Niech wiem jaki los mnie czeka, niepewność taka jest męczarnią.

KREON (wyrywając się, odpycha ją szorstko, tak że wpada w objęcia Filipa). Zaprowadzić ją do wieży panującej nad miastem, niech tam czeka rozstrzygnięcia walki, niech patrzy na zaburzenie i bunt wywołane jej pychą i okrucieństwem. (Do Filipa i do innych.) Chodźcie! Losy Hypatiusa zależą od dzielności szpad waszych. Ich nagrodą będzie cesarstwo i władza (mówiąc przechodzi scenę) a mojem zadośćuczynieniem zemsta!

(Końcem szpady wskazuje Teodorę, która podchodzi parę kroków w błagalnej postawie, cofa się jednak z przerażeniem, zobaczywszy zwrócone ku sobie włócznie i dzidy żołnierzy. Filip podtrzymuje ją.)

FILIP. Matko!

(Teodora patrzy na niego ze zdziwieniem i przerażeniem; ale usłyszawszy z zewnątrz przerażającą wrzawę i zgiełk, chwyta go się rozpaczliwie.)

TEODORA. Ratuj mnie! ratuj mnie, Filipie! (Wybuchając łkaniem.)

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Matka i syn.

(Wnętrze apartamentu w jednej z wież pałacu. Szereg łuków wytworzonych przez zaokrąglenie sklepienia, wychodzi na szeroki taras bez balustrady; widać z niego kopuły, dachy, łuki i wieże Konstantynopola. Wnętrze wieży urządzone bogato i z przepychem. Na stole, na lewo leży korona cesarska; na ziemi, na stosie poduszek, Teodora wpół siedzi, wpół leży; ubrana jest w bieli, z zarzuconą na wierzch purpurą. Boczne drzwi zasłonięte są portyerami. Salon blado oświetlony. Nagle zabłysło czerwone światło jasno oświetlające scenę i jednocześnie daje się słyszeć zgiełk i szmer wielkiego tłumu. Straszna, czerwona łuna, coraz silniej się roztacza. Szczyty domów, kopuły, wieże, coraz wyraźniej uwydatniają się z pomiędzy łuków i zmieniając nieustannie postać, przedstawiają ciągle wzmagający się pożar.)

(Teodora podnosi się zwolna jakby omdlała i zbliża się do okna. Chód jej jest chwiejący, twarz zmieniona jakby postarzała nagle; przechodząc chwyta się sprzętów. Doszedłszy do jednego łuku, wspiera się o cienkie filarki i zaczyna przyglądać się pożarowi.)

TEODORA (wyciąga zwolna rękę, mówiąc cicho, z wyrazem niewysłowionej nienawiści). Płoń, pal się, niewdzięczny grodzie! Gdyby jedna łza mogła ocalić te wspaniałe pałace, nie chciałabym jej uronić. Kreon zwyciężył i trzyma mnie tu zamkniętą jak dzikie zwierzę w klatce. (Zaczyna chodzić dokoła pokoju, z gwałtownemi ruchami nieposkromionego dzikiego zwierza.) Oh! gdybym mogła płakać i wrócić siły nędznemu ciału, którego osłabienie zniewala mnie pozostawać tu podczas, gdy Atalaryk i Belizaryusz z wiernemi swemi hufcami walczą jak lwy w obronie cesarza. (Przechodząc przez pokój.) Jestem więźniem! więźniem! i uwięziona przez niego. (Prostując się nagle, oświetlona odblyskiem coraz większej łuny.) A! Kreonie! Kreonie! obróć sobie w perzynę to bogate miasto, wymorduj wszystkich moich stronników, mniejsza o to! ale jak mogłeś uwięzić mnie tu samotną w tej bezludnej wieży, jakby wzgardzoną niewolnicę... Ale nie! nie! odwaga moja wyższą będzie nad niedolę moją!... (Z ruchem najwyższej pogardy.) Otoczyli mnie ognistem kołem jakby skorpiona, ale jak skorpion posiadam środek, który oswobodzi mnie, gdy zechcę. (Wyciąga z za sukni mały sztylet i zbliża się do stołu na którym leży dyadem cesarski, poczem chowa znów sztylet i chodzi po pokoju.) Słyszę kroki, to Filip powraca. On to stanął między mną a tymi zbójami; on bronił mnie od ich gburowatych szyderstw, a gdy jeden zuchwalszy od innych buntownik, ośmielił się położyć mi rękę na ramieniu, rzucił go na ziemię, szepcząc mi do ucha: „Nie obawiaj się, matko, chcąc cię znieważyć, musieliby pierwej wydrzeć mi życie!" Matko! ah! nie śmiem przypuszczać, że jest coś prawdy w tej tak świętej nazwie! (Z szyderskim śmiechem.) A! zdaje mi się, że rozum tracę!... Choćby nawet Miriam nie uprzedziła mnie, oszustwo aż nadto jest widoczne. (Hałas i zgiełk się wzmaga.) Co to za wrzawa? (Idąc do okna.) Pożar ogarnął pałac i dzielny Atalaryk pomimo gorejących płomieni, nowy szturm przypuścił. Chce zdobyć bramy... Do koła takie niezliczone tłumy. Ah! słyszę okrzyki: „Justynian i cesarzowa!"... Jakże szybko płomienie wznoszą się i szerzą! (Z tryumfującym śmiechem.) Ogień walczy w naszej sprawie. (Przysuwa się do brzegu tarasu. Ciemna jej postać odbija żywo od płomieni pożaru.) Idą! idą mnie wyzwolić!... Jak bystry potok przedzierają się przez płomienie i palące się zgliszcza... Otóż dotarli i całym nawałem rzucili się do zachwianych już bram. (Scena pociemniała nagle; Teodora niespokojnie pochyla się naprzód.) Nad głowami ich roztacza się chmura czarna jak piec grobowy... otóż rozproszyło się... zwyciężyliśmy. Dzielny Belizaryusz! dzielny Atalaryk! podpalają bramy... straszne, ogólne zamieszanie... (Z wybuchem dzikiego śmiechu.) Wybili drzwi, jestem wolna!... (Mówiła coraz głośniej, nagle głos jej osłabł i blada, osłabiona, z na wpół przymkniętemi oczami, wspiera się o kolumnę. Przychodzi do siebie powoli i cichym głosem wypowiada przebieg walki. Wraz z wzmagającym się zapałem, odzyskuje siły i każdemu jej słowu towarzyszą wymowne ruchy.) Ostrzem szpad rozpędzają zgraje motłochu. Brawo! dzielni moi Gotowie! niecni zdrajcy padają jak trawa pod stopami bawołów... (Cofa się wstecz; głos jej i ruchy zdradzają nagły przestrach.) To on! to Filip!... Twarz jego promienieje, szpada zakreśla jakby płomienne koło nad jego głową i sam jeden śmie stawiać czoło tak przemagającej sile. (Z gniewnym ruchem przechyla się nad brzeg tarasu.) Szalony! szalony! jemuż to mierzyć się z olbrzymem Atalarykiem!... Cofnij się!... odstąp!... chodzi o życie twoje! (Podniesione jej ręce opadają.) Ktokolwiek jest jego matką, jakież to mężne i odważne dziecko... (Milczenie, po chwili wydaje krzyk przeraźliwy.) Padł! Dawid padł od miecza Goliata!... Atalaryk podnosi topór. (Pada na kolana, jedną ręką opierając się o ziemię, drugą wyciągnęła naprężoną.) Powstrzymaj cios wymierzony... czy słyszysz?... cesarzowa twoja to ci rozkazuje!... Czyś oszalał? (Podnosząc się.) Ah! ja to szalona jestem, mniemając, że Atalaryk może głos mój dosłyszeć. A! otóż i Kreon! wpada między mordercę i umierającego... i pozbawił mnie wiernego obrońcy... Atalaryk zginął, ale Filip ocalony! (Krótka pauza.) Kreon odchodzi unosząc Filipa... Znikli mi z oczu, czyżby zginęli?... Nie! Kreon znów walczy... ścigają ich... uszli... (Chwieje się i podnosi ręce do czoła.) Jak ten ogień miota się wściekle... Gród ten dogorywa, atmosfera tak duszna, mury drżą, z oddali słyszę zapadanie się dachów. (Gdy to mówi kopuła jakaś i kilka szczytów gmachów zapadają się z trzaskiem, płomienie dosięgają balkonu i filarów arkad.) Wieża w płomieniach! przystawiają drabiny do muru! (Opuszcza balkon i zwraca się ku stołowi.) Nadchodzą! (Bierze koronę cesarską.) O! nie jestem już lwicą pozbawioną pazurów i zębów, strąconą z tronu cesarzową!

(Kładzie koronę na głowę i majestatycznie drapując się w cesarską purpurę, oczekuje na Narsesa i żołnierzy, którzy zbroczeni krwią i czarni od dymu wdzierające się na chwiejące się już mury wieży i wpadają z pomiędzy arkad. Zobaczywszy Teodorę wyprostowaną i nieruchomą jak posąg, żołnierze zatrzymują się i cofają.)

NARSES (sam wysuwa się naprzód i zginając kolano, mówi). Długie lata zdrowia i życia naszej cesarzowej!

(Daje się słyszeć odgłos radośnych fanfar. Teodora pastępuje parę kroków chcąc przemówić, ale upada zemdlona. Narses rzuca się do jej stóp; żołnierze otaczają ich kołem. Pożar zwiększa się gwałtownie.)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WYSTAWA NASION.

Od niejakiegoś czasu w przemyśle i rolnictwie naszem daje się spostrzegać widoczny zwrot ku lepszemu. Zrozumiano nareszcie, że i my przy dobrej woli i usilnej pracy, możemy śmiało liczyć na siebie samych. Dawniej zbyt mało zwracano uwagi na hodowlę wyborowego gatunku nasion, sądząc że klimat nasz jest za ostrym do należytego wychodowania ich, sprowadzano więc z obcych krajów jak Erfurtu, Kwedlimburga lub Paryża.

Tym sposobem mieliśmy skrzętniejszych i zabiegliwszych od nas sąsiadów, którzy w bezwzględnem pojęciu walki o byt, wcale się nie wstydzili wyzyskiwać nas na wszelkie sposoby. Dowodem tego choć pojedynczym ale wielce wymownym, są zgrabnie wyrobione kamyczki, ufarbowaniem udające do złudzenia nasienie czerwonej koniczyny, które jako corpus delicti przechowuje stacya oceny nasion przy Muzeum Przemysłu i rolnictwa. Wystawa nasion otwarta przy niem dnia 11 Października wskazuje nam jakie już postępy uczyniono w tej gałęzi Przemysłu, a liczne i piękne okazy, każą nam mieć nadzieję, iż z biegiem czasu może już zupełnie produkcyą nasion sami sobie wystarczymy.

Wystawa ta mimo swej specyalności sprawia miłe wrażenie, estetycznem swojem urządzeniem. Na schodach prowadzących na wystawę, widnieją pięknie urządzone klomby z krzewów cieplarnianych. Sale wystawowe, których jest siedm, umiejętnie i gustownie przyozdobione są kłosami z różnych zbóż, a mimo swej obszerności szczelnie są zapełnione najrozmaitszemi okazami gospodarstw zbożowych.

W pierwszej zaraz sali podziwiać możemy kosztownie urządzone laboratoryum firmy anthalckiej C. Brannego; umyślnie sprowadzone z Biendorfu, a składające się z różnych aparatów i przyrządów, służących do chodowli nasion buraczanych.

Dalej spotykamy wystawę pracowni chemicznej Muzeum przemysłu i rolnictwa, zostającej pod kierunkiem p. Napoleona Milicera, która sposobem poglądowym na graficznych tablicach wykazuje różnice składu odmian pszenic europejskich, amerykańskich i azyatyckich. Prócz tego w bardzo ciekawy i pouczający sposób przedstawia okazy chemicznego składu ziarn pszenicy.

Stacya oceny nasion przy Muzeum wystąpiła znów z bogatym zbiorem zielników, kartonów, licznych okazów roślin dotkniętych rozmaitemi chorobami, oraz zbiorem szkodników i przyrządów służących do oceny jakości nasion.

Panowie Schmidt i Zabłocki przedstawili ciekawy okaz nowej oleistej rośliny nazwanej „Lallemancia iberica” która nie jest wybredną tak pod względem gruntu jak i uprawy. Otrzymany z niej olej, zdatny jest do jedzenia i do potrzeb malarstwa, a jeśli makuchy z niej okażą się użytecznemi na paszę, to roślina ta, ważną grać będzie rolę w gospodarstwie rolnem.

Z pomiędzy ogromnej kolekcyi różnorodnej pszenicy, zasługuje no uwagę tak zwana pszenica „sierpniowa” wystawiona przez pana Gustawa Plewako z Wisek (powiat Międzyrzecki) którą rozmnożył u siebie z ziarn wybranych z partyi pszenicy frankensztejńskiej. Odmiana ta odznacza się wielką siłą krzewienia, grubem, pełno-ziarnistym kłosem i ciężkiem ziarnem. Lecz głównym warunkiem dobrego jej urodzaju jest wczesny siew, gdyż siana w drugiej połowie sierpnia jest daleko plenniejszą od później zasianej.

Znaczna liczba wystawców chmielu świadczy o rozbudzeniu się u nas zamiłowania do plantacyi tej pożytecznej rośliny, którą dawniej fabrykanci piwa zmuszeni byli sprowadzać ogromnemi partyami z zagranicy.

Jedną z najdawniejszych jest plantacya Jana hr. Tarnowskiego w dobrach Bereźce i Torczyn w powiecie Krzemienickim gub. Wołyńskiej; prowadzona już od roku 1868 wydaje rocznie około 200 pudów. Za największą jednak uważać należy plantacyą d-ra I. Kazałki i W. J. Stankiewicza w Chmielnikach w powiecie Bobrujskim gub. Mińskiej wydającej rocznie około 1,000 pudów chmielu.

Zwraca także uwagę pięknemi okazami, wystawa paryzkiej firmy Vilmarin-Andrieux, zajmująca w jednej z sal całą ścianę i odpowiedniej długości stół; na pierwszej rozpięto gustownie i zręcznie snopki zboża, kłosy i t. d. na drugim ustawiono klosze z nasionami, obok warzyw, woreczków i wydawnictw informacyjnych.

Muzeum pszczelnicze na Koszykach wystawiło miody naturalne, nasiona roślin miododajnych, pierniki własnego wyrobu oraz wiele innych roślin i kwiatów.

Panie gospodynie także i na tem polu wystąpiły z owocami swej pracy o czem świadczą liczne okazy, nadesłane na wystawę. Z pomiędzy wielu wymieniamy panią Leokadyą Pleszczyńską z Międzyrzecza, która urządziła ładnie ugrupowaną kollekcyą bobu, fasoli, ogórków, słoneczników, nasion, marchwi, akacyi i rozmaitych warzyw.

Marya hr. Przezdziecka z Rakiszek nadesłała bardzo ładny len szary, biały i żółty, a panie: Marya Potocka z Wysokiego Dąbia i Zofija hr. Czacka z Koniuch w pow. Włodzimierskim, nadesłały pszenicę kostromkę.

Liczne odmiany nasion traw pastewnych wystawił hr. Ludwik Krasiński z Ursynowa.

Z roślin okopowych zwracały powszechną uwagę piękne buraki nadesłane przez p. Mayzla z Brzozówki, a u pp. Estreichera i Podbielskiego buraki pastewne dochodzą długości łokcia.

Z pośród okazów ziemniaków, wyróżniała się znaczną wielkością odmiana tak zwana *Bowinia*, wyprodukowana przez pana Janasza z Dańkowa w pow. Grójeckim. Pastewne zaś ziemniaki pana Paprockiego z Pocieszyna zadziwiały swoją długością, dochodzącą prawie do pół łokcia.

Wiele jeszcze innych okazów zasługiwałoby na wzmiankę, ale niechcąc zbytecznie rozszerzać się poprzestajemy na ogólnym opisie całej wystawy, tak starannie i umiejętnie urządzonej, a składającej dotykalne świadectwo, że dźwigamy się w pracy ekonomicznej a mianowicie w najgłówniejszej podstawie bytu w rolnictwie.

Z. H.

TEATR.

Potrzebne grzeszki komedya w 3-ch aktach oryginalnie napisana przez St. hr. Rzewuskiego.

Komedya o której chcemy obszerniej pomówić, nie jest pierwszą pracą dramatyczną młodego tego autora, wprowadzona na widownie tutejszych teatrów. O poprzednich nie zrobiliśmy najmniejszej wzmianki, bo nie chcieliśmy zniechęcać rozwijającego się dopiero talentu zbyt ostrym sądem na który jedynie zasługiwał. Były to bowiem kompozycye dość potworne, kąpiące się w brudzie, w podłości i nikczemności po same uszy, podobne do tych, o jakich zdawaliśmy sprawozdania przed parą miesiącami, tak że mimowoli nasuwa się pytanie, w jakiem społeczeństwie żyje p. Rzewuski, z którego brał wzory do swej pracy, gdzie spotykał tych ludzi których wprowadził na scenę i kazał im działać i mówić według swego pomysłu?

Podobni brudasi i nikczemnicy mogą się znaleźć wszędzie więc i u nas także, ale jako szczególne wyjątki nieuosabiające w sobie usposobienia całej społeczności, jak brodawki i narośle na niektórych twarzach, co nie może stanowić zasady do sądu o piękności fizycznej wszystkich.

A jednak takie tylko wyjątki, i to przesadzone, nienaturalne, widocznie nie z życia wzięte tylko wystrzyżone nożycami własnej rozpasanej wyobraźni, wstrętne, nawet obrzydliwe, przedstawił p. Rzewuski widzom w swych utworach... W komedyi *Potrzebne grzeszki*, podobne także dziwolągi z kałuży społecznej na widok wywleczone zostały.

Główną osią w niej około której wszystko się obraca, jest Ksawery Karasiewicz, stary kawaler człek zamożny właściciel wioski na Ukrainie, Dyrdówki, niegdyś nauczyciel a obecnie lichy literat, z gruntu poczciwy człowiek ale niedołęga każdemu z łatwością dający się oszukać. Do niego to przyjechał niejaki Dowmund Gembosz, herbu Gemba, natręt, blagier, pełen bezczelności, który mając tylko dni trzy zabawić nasiedział się już lat dziesięć i rządzi się w cudzym domu jak we własnym. Stare kawalerstwo Ksawerego bardzo mu się podoba, bo to zapewnia pobyt wygodny i niczem niezakłócony: podoba się ono równie i licznym krewnym Ksawerego czychającym oddawna na bogate dziedzictwo Dyrdówki po śmierci jej właściciela.

W tem naraz jeden bez żadnych wstępnych przygotowań, Ksawery przywozi z Warszawy do Dyrdówki jakąś młodą i ładną panienkę, której matka była niegdyś przedmiotem jednej jego miłości z lat jeszcze młodzieńczych. Córkę więc tej choć bezwzajemnie kochanej kobiety przypadkiem spotkawszy w nędzy i opuszczeniu, zacny Ksawery przywozi do siebie z postanowieniem rozciągnięcia nad nią stałej opieki.

Gemboszowi to zdaje się wielce podejrzanem a przypuściwszy że dzieweczka jest kochanką profesora, że ten czyniąc zadość potrzebie miłości w młodych latach niepoczutej, a wrodzonej każdemu człowiekowi, gotów się z nią ożenić i co najważniejsza, cały majątek zapisać, zawiadamia krewniaków o czekającej ich stracie i wzywa do wspólnego działania. Przyjeżdża więc siostra profesora Tekla Fujarkowska, głupia i zła istotna cza-

rownica, przed którą drżą nietylko własne jej dzieci Zyzio i Tryzia ale i mąż jej Tytus, gbur i zarozumialec ze wszystkiemi, tylko pokorny względem swej piekielnicy.

Zjawia się także Baltazar brat profesora, brudny samolub, wstrętny cynik, a głupi materyalista, wyrozumiały na najbezecniejsze łajdactwa miłosne i zimno oceniający stosunki ludzkie w zwyczajnem życiu.

— Mój kochany, powiada do siostrzeńca swego Zyzia, gdybym się miał pojedynkować ze wszystkiemi wielbicielami żony mej Sabiny, toby mnie już dawno na świecie nie było.

Nie przez szpary też patrzy na figielki swej połowicy, osoby wabnej, romansowej, ale całą garścią zasłania sobie oczy aby niby o nich nie wiedział a nawet figielkom owym ułatwia powodzenie. Malarza Dydaka też blizkiego krewnego profesora, jako byłego jej wielbiciela uporczywie kokietuje, który znudzony nią nie ma najmniejszej chęci być powolnym jej wymaganiom.

Taka to zgraja zjechawszy do Dyrdówki, po wspólnej naradzie, postanawia rozłączyć Ksawerego z jego mniemaną kochanką Kicią, do czego głównie ma posłużyć nastraszenie profesora iż pobyt jej dłuższy grozi skandalem bardzo szkodliwym i dla niej i dla profesora.

Odpowiednio do tego zaczynają działać, ale każdy z nich szukając jedynie własnych korzyści, w chęci przypodobania się profesorowi ostrzega go o zamachu gotujących się na niego i za zrobioną przysługę domaga się przysługi... pieniężnej. To biedakowi otwiera oczy i zarazem oddziaływa przeciwnie życzeniu spiskowców. Oburzony bowiem napaściami intrygantów, wypędza ich z domu, a nie umiejąc właściwie ocenić budzącego się w sercu swem uczucia dla Kici, i pewny że się w niej zakochał, pada przed nią na kolana i prosi o jej rękę.

Wypadkiem, zastaje dzieweczkę w nastroju dość dla siebie przychylnym. Kicia bowiem już dawniej przyjęła mile oświadczyny miłosne Dydaka, spostrzegłszy więc że Sabina kocha go także okrywa wzgardą wiarołomcę, zwłaszcza że Sabina wmówiła w nią, że Dydak kłamał gdy miłość jej wyznawał. Zrozpaczona biedaczka przyjmuje oświadczyny profesora, postanawia wyjść za niego, krewniacy zrozpaczeni głupieją, a gdy profesor do ostateczności gniewem wzruszony, woła:

— Kto pragnie zgody niech za mną puszcza się w taniec a inni niech idą sobie precz!

Wówczas wszyscy zaczynają na wyścigi tańczyć i w tem głupstwie mającem niby być komiką, zapada kortyna aktu drugiego w pośród oklasku paradyzu szczególniej lubiącego się w największych niedorzecznościach.

W trzecim wreszcie Kicia nawrócona do miłości dla Dydaka, otwarcie wypowiada profesorowi że kocha go tylko jak ojca, że małżonką jego zostać nie może, i że ceniąc jego poczciwe dla siebie chęci, opuszcza go równie biedna jak przyjechała.

Poczciwy profesor odtrąca złudzenie, któremu uległ, uznaje, że *grzeszki* miłości *potrzebne* w młodości są śmiesznością w późnym wieku. Prosi więc Kici by została przy nim i rozrzewniony całuje jej ręce. Dzieweczka spełnia życzenie, do opiekuna odsyła Dydaka po decyzyą co do zamierzonego z nim małżeństwa, a krewni winszują narzeczonym tak samo, jak przed chwilą winszowali Ksaweremu.

Treść to przydatna bardzo nietylko do farsy, ale nawet do komedyi i Autor mógłby z niej ułożyć rzecz nawet piękną i do wysokiego artyzmu posuniętą, gdyby znał społeczeństwo dla którego pracę swą przeznacza i nie brał wzorów z ludzi z nami żadnej wspólności nie mających. Jest to świat nie nasz, zupełnie nam obcy, o czem pamiętać powinien.

Postacie bowiem jego to szubrawcy, półgłówki, i niegodziwcy godni szubienicy. Kobiety to wyuzdane ulicznice, rodzina to zbiorowisko zlepków zgangrenowanych, a społeczność cała gromada furyi poddanych huci zwierzęcej, na którą w uczuciu pogardy plunąć nawet niewarto.

Mimo tych wszystkich usterek, dotąd na scenie teatru naszego nie widzianych, mimo obrazowania jakiegoś zgniłego towarzystwa, nam zupełnie nieznanego, w którem można sobie wymyślać od ś... i osłów, w którem powiedzenie przez syna matce, że zwaryowała nikogo nie dziwi, a przyznawanie się mężatek już nie do miłosnych awantur ale do naturalnego wyboru nie oburza, otóż mimo tego wszystkiego sztuka była oklaskiwaną a Autor przywołany kilka razy z wielkiem prawdziwych miłośników teatru smutkiem. Klakę urządzić łatwo, nędznych najemników gotowych za rubla duszę sprzedać dyabłu, wszędzie i zawsze znaleźć można, ale niechże temi głosami Autor nie uwodzi się i niech pamięta, że pragnąc trafnie, rozumnie i pożytecznie przedstawiać społeczność jaką, czy w powieści, czy w dramacie, trzeba ją znać dobrze, trzeba ją na wskroś przejrzyć, wżyć się w nią, wcielić, własne uporządkować myśli, zdobyć dla nich stały grunt, a przedewszystkiem poznać samego siebie dokładnie, bo o tyle świat znamy o ile siebie zbadaliśmy.

Gra artystów była niezmiernie staranną i nic im zarzucić nie można. Pan Rapacki w roli profesora z wielką prawdą przedstawiający zapaleńca naukowego, w buncie swym przeciw intrygantom był istotnie prawdziwym i komicznym zarazem, a nawet tę naturalność umiał utrzymać i później, gdy wszystko go do przesady ciągnęło.

Pan Szymanowski wstrętnego Baltazara oddał z humorem prawdziwie satyrycznym.

Pan Tatarkiewicz był dobrym rubachą: p. Wolski naturalnym, pan Śliwiński rozśmieszającym... paradyz, pan Galasiewicz zabawnym sługą, a pan Leszczyński małą swą rolę podniósł na właściwe stanowisko.

Artystki w niczem nie ustępowały swym utalentowanym towarzyszom. Pani Lüdowa bezecną rolę kobiety, wypatrującej wszędzie zastępcy męża, umiejętnie bardzo łagodziła zbyt jaskrawe ustępy swej roli.

Pani Ostrowska brutalność niezgodnej kobiety oddała z humorem trzymanym zręcznie w karbach naturalności.

Panna Czakówna na właściwym poziomie trzymała naiwność młodego dziewczęcia.

Panna Chraszczewska Bronisława wreszcie, rolę Fryzi oddała z widocznem staraniem i pojęciem prawdziwie artystycznem.

RÓŻNE WIADOMOŚCI.

Plagi warszawskie, co pobyt w starym tym grodzie robią nieznośnym, są dość rozlicznej natury.

Z najważniejszych brak w niej dobrej wody, zdrowego powietrza i bezpieczeństwa przed złodziejami. Zamknięcie najsilniejsze, sztaby żelazne, łańcuchy, obworowania, są dla nich niczem i jak coś sobie upatrzą, strzeż jak chcesz wszystko nic nie pomoże i ani się spostrzeżesz jak cię do nitki okradną, wszędzie, gdzie się obrócisz, w domu, na ulicy, w teatrze, cyrku, na koncercie, w tramwaju, a nawet i w kościele w chwili największego podniesienia ducha modlitwą.

Żebractwo także coraz się staje nieznośniejszem, nad usunięciem go radzą już poczciwie ludzie, ale o oddziaływaniu przeciw złodziejstwu nie ma mowy nawet. Prawda że policya czuwa a stróże pilnują; aresztа także są pełne i więzienia przeludnione, ale jest to działanie na skutki złego a nie na jego przyczyny. Po odcierpieniu kary, więzień wysłaniem na pobyt w miejscu rozgłoszony niejako kim jest, różnemi przepisami skrępowany i odpychany wszędzie ze wstrętem, cóż ma robić aby nie popadł w ostateczną nędzę, lub z głodu nie umarł? Znowu więc zostaje złodziejem tylko sprytniejszym i więcej niebezpiecznym. Aby takich recywistów jak najmniej było, potrzebne jest działanie odpowiednich stowarzyszeń i raz wysłanych w świat daleki pozostawianie na zawsze w wyznaczonej im siedzibie, z ułatwieniem możności pracowania na własne utrzymanie.

Do pobieżnej tej uwagi skłoniło świeżo wydane rozporządzenie, nakazujące byłym więźniom codzienne meldowanie się w urzędach policyjnych.

W celu ratowania ziemskich posiadłości w Poznańskiem, założenie Banku ziemskiego z Poznaniu zostało stanowczo postanowione z kapitałem dziesięciu milionów marek w akcyach po marek 1,000.

Celem wykonania tej uchwały, wybrano komisyę złożoną z pp. Stanisława hr. Żółtowskiego, d-ra Zygmunta Szołdrzyńskiego, d ra Witolda Skarzyńskiego, d-ra Wł. Łabińskiego i Wł. Jerzykiewicza.

Komisya ma określić ściślej projektowany statut, przygotować odezwę, wzywającą do rozebrania akcyi, podpisaną przez grono osób do komisyi wybranych i wykonać wszystkie kroki potrzebne do ukonstytuowania banku.

Zadanie banku określono w tych mniej więcej słowach:

1) Pośredniczenie w zaciąganiu pożyczek hipotecznych.

2) Regulowanie hipotek.

3) Pośredniczenie w nabywaniu, dzierżawieniu i parcelowaniu dóbr ziemskich.

4) nabywanie dóbr ziemskich celem dalszego ich sprzedawania, wydzierżawiania i parcelowania.

Odzywały się głosy, aby bank przeważnie zajmował się kupowaniem dóbr na wielką skalę, myśl ta jednakże nie znalazła poparcia, zakreślono bankowi ściślejszy obręb działania, nie wykluczając bynajmniej i nabywania dóbr w korzystnych warunkach.

Skutek pamiętnego inseratu. Na początku lutego znajdował się w dzienniku „Westf. Merkur." następujący inserać: „Kupiec, przyjemnej postawy, liczący 33 lat, posiadający wielki interes i znaczny majątek, pragnie, pobudzony do tego ostatniemi

rozprawami w Izbie poselskiej, poślubić żonę. Ponieważ wszyscy mówcy, mianowicie JO. książę kanclerz, uznawali przewagę Polek, przeto reflektuje adept tylko na Polkę. Nie potrzebuje ona posiadać żadnego majątku, musi atoli mieć piękną figurę i liczyć 17 do 20 lat. Łaskawe oferty sub. A. W. 100 można przesłać do Ekspedycyi tego pisma." Otóż obecnie „Westf. Merkur" donosi, że wskutek anonsu tego przyszło małżeństwo do skutku. Kupiec ów ożenił się wprawdzie z niezamożną, lecz piękną Polką, małżeństwo to bawi obecnie w Neapolu, a następnie przeniesie się na stałe do Galicyi.

Wojna jest niemożliwa. Pod takim tytułem paryzki „Figaro" zamieszcza artykuł w którym zdaje sprawę z doświadczeń czynionych z zupełnem powodzeniem, z nowo wynalezionemi pociskami, wobec ministra wojny i dziesięciu deputowanych.

Doświadczenia te odbyto w Chavignon. Minister wojny przybył tam w towarzystwie kilkunastu osób kompetentnych.

Szkoła artyleryi w Fere przedstawiła przybyłym granat i strzelbę.

Drugi ten wynalazek jest piękny, ale znaczenie jego niknie wobec granatu.

Strzelba jest nadzwyczaj lekka. Główną zaletę jej stanowi to, że nadaje pociskowi taką siłę, iż nie robi łuku zakreślonego zazwyczaj przez kulę. Można więc z tej strzelby mierzyć prosto do celu. Ale, jak wiadomo, dzisiaj nikt nie mierzy. Nie widzi się nawet nieprzyjaciela.

Granat sprawia straszliwe spustoszenie, o jakiem nigdy wyobraźnia ludzka marzyć nie mogła.

Ma on metr długości, a u podstawy 22 centimetry średnicy. Zakończenie ma spiczaste. Waga jego wynosi 220 funtów.

Z potężnego moździerza wypuszczono go na stary fort, który już do niczego nie miał służyć. Usłyszano huk ogromny.

Granat szpicem swoim uderzył na fort i wrył się niby w masło. Kilka sekund wyczekującego milczenia i nagle ozwał się huk straszliwy. Z fortu nic nie pozostało.

Granaty pękają zazwyczaj w tej samej chwili, gdy upadają i sprawiają uszkodzenia tylko w części budynku, które napotkały w chwili wybuchu.

Nowy granat działa zupełnie inaczej: ryje do gruntu budynki na które go się ciska. Nie odłamki jego robią zniszczenie. Pęka na miejscu, rozsypuje się prawie w proch, ale tworzy naokoło siebie jakby atmosferę gazu, który nabrzmiewa z niesłychaną siłą i burzy wszystko co go otacza. Dość jednego granata, aby zburzyć kilkanaście domów. Przy użyciu podobnych granatów, Paryż nie mógłby się trzymać tygodnia, a o Metzu nie ma co nawet mówić.

Ruch antykościelny we Włoszech. Rzymski sprawozdawca „Politische Correspondenz", utrzymujący stosunki z kołami watykańskiemi pisze:

Tak zwana „antiklerykalna" agitacya zagraża przybraniem takich rozmiarów, że w każdym, komu na sercu leży los katolików włoskich i Papieża, musi obudzić zaniepokojenie. Zaszły w ostatnich czasach tego rodzaju wypadki, które z konieczności muszą zwrócić uwagę kół dyplomatycznych na stan rzeczy, przedstawiający się z każdym dniem nieznośniej i wymagający spiesznych środków zaradczych. Czasopisma liberalne podały niedawno wiadomość, ze Papież zamierza opuścić Włochy. Każdy rozumny człowiek, chociażby nie znał pod względem zapatrywań najwyższej Głowy Kościoła, jeżeli wszakże patrzy na coraz trudniejsze i niepewne położenie Stolicy świętej, może się łatwo skłonić do mniemania, że Papież w istocie mimo łagodności charakteru i gotowości do ofiar, może zostać zmuszony do tak ostatecznego kroku. Twierdzono nadto, że ze strony papiezkiego sekretaryatu państwowego, wystosowany został protest do nuncyatur przeciw rozlicznym, przedsiębranym w ostatnich czasach w wielu miastach demonstracyom przeciw Kościołowi, tudzież że protest ten polecono zakomunikować odnośnym rządom. W obec najświeższych, napiętnowanych nienawiścią do katolicyzmu manifestacyi, brzmią powyższe doniesienia bardzo prawdopodobnie.

Dość będzie przytoczyć tylko trzy zdarzenia, ażeby dać pojęcie o poważnej sytuacyi i wiele niemiłych stosunkach, w jakich się znajduje Stolica święta.

Najpierw tedy odbyło się uroczyste uczczenie pamięci niejakiego Lucatelli, który w swoim czasie skazany został na śmierć przez rząd papiezki za zamordowanie brygadyera żandarmeryi. To uczczenie pamięci odbyło się wśród inwektyw przeciw Papieżowi, duchowieństwu, katolikom i przy udziele reprezentantów władz administracyjnych i municypalnych. Były burmistrz Rzymu Pianciani rzekł: „Nie wiem jaki los czeka niewyzwolone jeszcze prowincye, ale skoro pewnego dnia zjednoczone zostaną pod naszym sztandarem, czcić będziemy ich męczenników tak samo, jak dziś składamy hołd pamięci zamordowanego przez rządy papiezkie."

Druga demonstrancya odbyła się w Padwie. W mieście tem obnoszono niedawno po ulicach wizerunek Leona XIII-go wśród urągań tłuszczy ulicznej, a następnie spalono go na jednym z placów publicznych, na co władze rządowe patrzyły spokojnie.

Prawie równocześnie zdarzył się trzeci następujący wypadek: Przez telefon jednego z floreńskich dzienników ogłoszono co następuje: „Też same działa co zburzyły *Porta Pia*, obrócą w gruzy — niech o tem pamiętają klerykały — ostatnią twierdzę reakcyi — Watykan rzymski."

Przed kratkami kryminalnego sądu w Berlinie stawała przed kilku dniami dwunastoletnia dziewczynka Marya Schneider, oskarżona o zrabowanie 3 i pół letniej Małgosi Ditrichs i wyrzucenie jej następnie przez okno trzeciego piętra na ulicę. Psychiczna strona procesu tak jest osobliwą, że podamy go tu obszernie.

Oskarżona przyznaje się odrazu do winy. Jako pobudkę do zbrodni podaje kolczyki, które miała w uszach Małgosia. Zbrodniarka z trzeźwym namysłem i niewzruszonem postanowieniem, sprowadziła biedaczkę do domu swej matki, ażeby ją obedrzeć i zamordować. Zawiodła ją do okna, które wychodziło na dziedziniec i było otwartem; uczyniła to z zimną rozwagą i niezłomnem postanowieniem strącenia swej wątłej ofiary w przepaść.

Prezydujący. Dlaczego postanowiłaś ją strącić z okna?

Oskarżona. Ażeby nie powiedziała nikomu, że zdarłam z niej kolczyki.

Pr. Czyż dziecko trzy i pół-letnie mogło już tyle mówić, aby zeznało, że „Marya Schneider wydarła mi kolczyki?"

Os. Ale mogła wskazać na mnie.

Pr. Więc wszystko to sobie naprzód obmyśliłaś?

Os. Tak.

Pr. Cóż uczyniłaś wyszedłszy na górę?

Os. Odchyliłam więcej okno; chciałam posadzić na niem dziecko, gdy wtem przechodził ktoś przez schody, zamknęłam więc okno coprędzej napowrót.

Pr. Jak umieściłaś dziecko w oknie?

Os. Twarzą do dziedzińca, gdyż chodziło mi o to, ażeby na mnie nie patrzyło.

Pr. Teraz więc zaczęłaś zdzierać jej kolczyki, czy Małgorzata zachowała się spokojnie?

Os. Nie, płakała, krzyczała, że ją boli.

Pr. Czy groziłaś jej?

Os. Tak, mówiłam, że strącę ją z okna.

Pr. A cóż się stało, gdy zdarłaś kolczyki?

Os. Kolczyki schowałam do kieszeni a dziecko strąciłam z okna.

— Jakże to uczyniłaś? — zapytuje prezydujący wśród powszechnego osłupienia w sali, na widok dziewczęcia, które potworne szczegóły nieludzkiej zbrodni opowiada jakby nowostkę zasłyszaną na ulicy.

— Uderzyłam ją w ramię, tak, że zsunęła się łatwo.

— Słyszałaś przecie jak upadła?

— Tak, słyszałam jak trzasnęła o kamień.

— Wiedziałaś przecie, że dziecko umrze?...

— Wiedziałam.

— Czy nie pomyślałaś o tem, jaki ból sprawisz dziecku, strącając je z takiej wysokości?

— Nie.

— Słuchaj, Maryo, mówiłaś nam, że postanowiłaś zgładzić dziecko. Jak się nazywa człowiek, który tak czyni?

— Nazywa się mordercą.

— A cóż się dzieje z mordercą?

— Bywa karany.

— W jaki sposób?

— Zabijają go...

— W jaki sposób?

— Ścinają głowę.

— I czem jest potem?

— Trupem.

— Ty zabiłaś małą Małgosię, czemże więc jesteś?

— Morderczynią!

— Cóż więc, sądzisz, stanie się z tobą?

— Będę ściętą...

Mrowie przeszło po zgromadzeniu, które przysłuchiwało się tym zeznaniom dziecka, torturującym wszelkie uczucia ludzkie.

Podczas narady sędziów, zbrodniarka spożywała najspokojniej śniadanie.

Sąd skazał ją na lat 8 więzienia, co wysłuchawszy rozpłakała się rzewnie.

Z dziedziny humorystycznej.

— Powiadają że do wszystkiego trzeba mieć szczęście, jam widocznie otrzymał w darze łatwość trafiania... kulą w płot.

Jednego dnia jestem na obiedzie pożegnalnym jednego z dygnitarzy wychodzącego na emeryturę, który tem się najwięcej zasłużył, że został nareszcie emerytem. Witamy się, ściskamy sobie ręce, dygnitarza wenerujemy, usadzamy na pierwszem miejscu, podają półmiski, zajadamy, gwarzymy, popijamy, wznoszą zdrowie solenizanta, wygłaszają zasługi, prawią pochlebstwa i komplementy, sąsiad mój także dygnitarz wzdycha żałośnie i szepcze:

— Jakże mu zazdroszczę emerytalnego spoczynku.

— Zdaje mi się, powiadam, że pan radca dosłużył się już dawno emerytury.

— A tak mój panie, już temu lat dwa.

— Lat dwa? — powtarzam zadziwiony. To dlaczegoż pan jeszcze służy?

— Muszę, bo któż mnie zastąpi kiedy nie ma takiego?

— Masz tobie! pomyślałem sobie, a to mi się udało! i korzystając z zajęcia się mego sąsiada, zwracam się do drugiego i mówię:

— Zapewne i pan radca emerytury niedługo się dosłuży?

— Już ją wysłużyłem w zeszłym roku, ale służę jeszcze bo...

— Bo, podchwytuję i rozumny doświadczeniem dodaje: bo nie ma równie zdolnego do zastąpienia pana radcy.

— Ej! nie! nie jestem tak zarozumiały, odpowiada zagadnięty, abym przypuszczał niemożność zastąpienia mnie. Siedzę, bo cóżbym robił bez biórowej pracy?

— Oho! mruczę w myśli i kituję usta milczeniem, abym znowu nie wyrwał się jak Filip z Konopi.

Wreszcie obiad się kończy, wypijamy wszystko, do ostatniej kropelki, rozbiegamy się... Wieczorem jestem w teatrze, rozglądam się po lożach przez lornetkę i nic nie widzę. Sąsiad zupełnie mi nieznany widząc moje zakłopotanie, użycza mi swojej.

Patrzę, doskonała.

— Wybornie przez nią widzę, powiadam. Ot! ta dama na pierwszem piętrze...

— Ta z białem piórem u kapelusza?

— Ta sama, cóż to za koczkodan.

— To moja żona, odpowiada nieznajomy i zdaje mi się że pięść ściska gniewnie.

— Nie, nie, dławiąc się i krztusząc mówię, ta druga, poważna...

— To moja matka, objaśnia nieznajomy, ze spojrzeniem wulkanicznem, a ja udając że nie dosłyszałem uśmiecham się, a sobie w myśli język urzynam przy samym przełyku.

* * *

W amfiteatrze poważnej Sorbony w Paryżu przed kilku tygodniami, zgromadziła się publiczność dla wysłuchania odczytu wiceprezesa rady miejskiej doktora p. Chautemsp o metodzie Pasteura, który ma bardzo wielu zawziętych nieprzyjaciół pomiędzy członkami rady miejskiej.

Zaledwie prelegent wszedł na katedrę i wymówił słow kilka, dał się słyszeć piskliwy głos kobiecy wołający zdala:

— Przestań! przestań! nie kalaj doktorze ust swoich pochwałą potwora, co morduje tysiące niewinnych istot, aby potworom podobnym sobie przywracać zdrowie.

— Cóż tam za gadzina co syczy bluźnierstwo? zawołano z drugiego końca amfiteatru.

— To ja! zawołał ten sam głos i jednocześnie przed katedrą pokazała się mocno zaczerwieniona jakaś jejmość! To ja jestem, mówiła dalej, sekretarka ligi antiwiwisekcyonistów, pani Lauth. Przed trzema dniami zbiłam parasolikiem niegodziwca, który robił doświadczenia na żywej małpie, a tu przyszłam oświadczyć, że z roztrąbionym przez was w sławie Pasteurem, tak samo postąpię jeżeli nie zaniecha swych zbójeckich czynności z biednemi królikami okrutnie przez niego mordowanemi.

Wrzask i hałas, śmiech i oklaski, zagłuszyły dalszą mowę. Doktór Chautemps nieprędko rozpoczął na nowo swój wykład, pani Lauth co chwila przerywała mu a gdy prelegent rzekł:

— Nasze stulecie posiada dwóch okrytych chwałą chciwych krwi ludzi, Napoleona I i Bismarka. Z czynów Napoleona pozostało nic, z Bismarka działalności tyleż także pozostanie. Tymczasem trzy nazwiska pokojowe, Hugo, Leseps i Pasteur, pozostaną nieśmiertelnemi.

— Ha, ha, ha! — zaśmiała się głośno pani Lauth, kłamstwo najwierutniejsze, fałsz bezecny, obrzydliwe pochlebstwo! Oto nagroda waszej bezczelności! i zaczęła gwizdać na kluczu przeraźliwym tonem.

Przy wyjściu studenci w liczbie około 50, odprowadzili awanturnicę gęsim marszem, naśladując przytem ryk, pisk i wark różnych zwierząt na świecie.

* * *

Z wystawy rolniczej zdejmowano fotografią z niektórych okazów nagrodzonych medalem. Pierwszy był wół niezmiernej wielkości. Fotograf w dniu tym był pracą znużony i w połowie śpiący. Wół mrużył oczy, fotograf ledwie je otwierał, gdy więc miał aparat działać, odezwał się przyjętym terminem przez wszystkich na świecie fotografów:

— A teraz proszę lekko się uśmiechnąć.

* * *

— Byłem na polowaniu — powiada jeden z Warszawiaków — i powiadam państwu, że już noga moja nigdy z domu nie wyruszy.

— Czy tak źle ci się wiodło?

— Ej! nie, spotkałem kilku zajęcy i kilka stad kuropatw, ale...

— I cóż? Dużo zabiłeś?

— Nic, cóż to biedactwo zawiniło mi, żebym miał je zabijać? Ale nie to zraziło mnie do polowania, tylko gburowatość chłopa przy pługu. Wystawcie sobie, woliska ciągną ile sił mają a on kręci batem i co krok stąpią łup! ich po grzbiecie. Mówię mu też: mój bracie twojem bydlęciem to nie chciałbym być, a on wiecie co mi powiedział? Oto, a czyjem? zapytał. Gbur bez wychowania.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani E. Moraczewskiej. Pudełek z przyborami do przenoszenia deseni na materye, opisanych w numerze 39 naszego Pisma, nigdzie w Warszawie znaleźć nie mogliśmy.

Pani Sewerynie I. Opowiadanie o które w liście pytano, już w Przyjacielu Dzieci było pomieszczone.

NOWE WYDAWNICTWA.

Kalendarz Wieku illustrowany i bardzo starannie ułożony przez współpracowników Wieku, wyszedł z druku w dużym formacie i obejmuje oprócz zwykłej części kalendarzowej: Życiorysy różnych tegoczesnych znakomitości; poezye, powieści; przeglądy i sprawozdania, dział informacyjny i dział adresowy. Cena kop. 50.

Nad naszą Wisełką, obrazek z życia Warszawy napisał Franciszek Walczakiewicz. Autor już poprzednio wydał dwie podobne książeczki:

1. **Jan Sobieski** spieszący na pomoc oblężonym Austryakom — cena kop. 6.
2. **Jan Zamojski** kanclerz i hetman koronny kop. 10.

Obecnie wydana **Nad naszą Wisełką** obszerniej jest opracowaną i z jednem poczciwem uczuciem miłości dla swojego gniazda. Cena kop. 20.

Kalendarz powszechny na rok 1887. Rok IX, nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S ki, Nowy Świat 41, z dodatkiem bezpłatnym dwóch kalendarzy ściennego i kieszonkowego, wyszedł z druku i zawiera oprócz właściwej części kalendarzowej, w części litarackiej prace Konopnickiej, Wik. Gomulickiego, Hajoty, Miriama, A. Pileckiego, K. Podwysockiego, M. Wołowskiego, Klemensa Junoszy, Gabryeli Śnieżko- Zapolskiej, Martynowskingo, T. Marunowicza, I. Zientarskiego. Nabywający nadto kalendarz ma prawo do nabycia za kop. 50, pięknej chromolitografii z obrazu Jana Matejki przedstawiającego, Spór Gryfiny z Leszkiem Czarnym. Cena kalendarza kopiejek 20.

Wszyscy za jednego fraszka napisana przez Włodzimierza Wysockiego. Wydanie trzecie nakładem księgarni Bolesława Koreywy w Kijowie i Odessie.

Upominek z uroczystości odsłonięcia i poświęcenia tablicy pamiątkowej ś. p. Władysława Ludwika Anczyca, odbytej w kościołku ś-go Salwatora na Zwierzyńcu pod Krakowem d. 12 czerwca 1886 roku,

BIURO KAUCYONOWANE rekomendacyi Guwernerów, Guwernantek i Bon, Eugenii Hennel, dawniej Heleny Dąbrowskiej. Krakowskie-Przedmieście N-r 79, mieszkania N-r 28. (Dom SS. Piotrowskich, Pasaż Roeslera.)

Przełożona pensyi żeńskiej

przy ulicy Hożej Nr 5

Jadwiga Lipska

zawiadamia osoby interesowane, że zapis uczenic na rok szkolny 1886/7 już się rozpoczął.

PRZYJACIEŁA DZIECI

numer 42 wyszedł z druku i zawiera:

Pogadanki z Nauczycielem. — W starym dworku (wiersz). — Z życia osadników w Afryce (z drzeworytem). — Z wędrówki po ojczystej ziemi. — Malarze na wędrówce artystycznej (z drzeworytem). — Ze wspomnień marynarza (z drzeworytem). — Książę i biedak. — Z prawdziwych wydarzeń. — Z nauki. Dodatek: W podziemiu. — Płacz (wiersz). — Awantury pana Głuptasiewicza (z drzeworytem). — Miłość braterska (wiersz). — Stultus roztrzepanikus. — Myśli. — Guś ptaszkiem. — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Октября 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).



N. 1. Suknia z długą tuniką.

N. 2. Suknia z krótkim stanikiem. Patrz ryc. 16.



N. 4. Kapotka z pletni filcowej. Patrz ryc. 34 i 35 w N-rze 42.

Opis do N-ru 43.

(Dokończenie.)

N. 23—24. Riusza wełniana.

Odpowiednia do przyozdobienia różnych robót, serwet, jako frendzla lub kwasty, wykonywa się w niezmiernie łatwy sposób. Jak to rycina 23 wskazuje na widełkach drucianych owija się równo włóczkę hamburgską, następnie przysuwając pentelki o ile można najściślej do siebie, przerabia je się łańcuszkiem szydełkowym z grubej mocnej nici; po zsunięciu z widełek skręca się robotę lekko w palcach, trzymając za końce łańcuszka, przez co tworzy się riusza, wskazana na ryc. 24.

N. 25. Kapotka dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 28 w N-rze 42.

Fasonik filcowy żółtawo biały ma rondko z przodu odstające, z tyłu zaś odwinięte w górę. Brzegi kapotki objęte aksamitem żółtawym, rondko zaś podszyte aksamitem bordeaux. Przybranie z wstążki 6 cent. szerokiej żółtawej, z brzegiem w pikoty, układa się podług ryc. 25 i ryc. 28 w N-rze 42; z wierzchu dwa strusie piórka.

N. 26. Kapelusz okrągły dla dziewczynki. Patrz ryc. 29 w N-rze 42.

Główkę 16 cent. wysoką otacza rondko odwinięte stopniowo od 2 do 8 cent. szeroko, podszyte aksamitem w paski; główkę opasuje plisa aksamitna 3 cent. szeroka; kokarda z wstążki 6 cent. szerokiej z pod której wysuwają się dwa strusie pióra.

N. 27. Kapotka koronkowa do teatru.

Brzeg fasonika objęty torsadką dżetową; na rondku oparta girlanda płaskich róz przysłoniętą koronką 15 cent. szeroką, 212 cent. długą, zmarszczoną w rozetę przykrywającą wierzch główki podług ryc. 27; na środku główki przytwierdzona agrafka dżetowa w kształcie grzebienia. Końce z wstążki 7 cent. szerokiej.

N. 28. Kapotka do teatru.

Fasonik tiulowy pokryty jest namarszczonym czarnym tiulem chantilly, z przodu dana girlandka róż przysłonięta koronką; ptaszek dżetowy stanowi przepięcie z boku kapelusza; końce do wiązania z wstążki atłasowej.

N. 29. Stanik z plastronem. Patrz ryc. 22 w N-rze 42.

Stanik z dość długą baskiną ma przody z podwójnym plastronem; jeden w formie kamizelki dopełnia podłużny wykrój stanika i wszyty jest w stojący kołnierzyk. Drugi tworzy się z ranwersów wzdłuż stanika wywiniętych i przytrzymanych dużemi guzikami. Podłużny wykrój otoczony jest kołnierzem z przodu idącym szalowo, z tyłu ściętym prosto nakształt marynarskiego kołnierza, jak to wskazuje ryc. 22 w N-rze 42. Wykrój stanika u dołn



N. 3. Sukienka dla panienki lat 12—14.



N. 5. Paletot długi jacerowy. N. 6 Suknia z długim stanikiem

przodów podszyty bufą marszczoną. Haft złotem na kamizelce daje się w kształcie tarczy herbowej, kotwicy, lilii, nawet może być zrobiony monogram, odpowiednie przyozdobienie na kołnierzu marynarskim i na mankietach.



N. 7. Suknia z kaftanikowym stanikiem.

N. 30. Okrycie krótkie jesienne.

Odrobione jest z czarnego wełnianego materyału w prążki, na podszewce atłasowej, plecy wcięte do figury krają się trochę krócej od przodów; zapięcie dane na kryte guziki. Przybranie

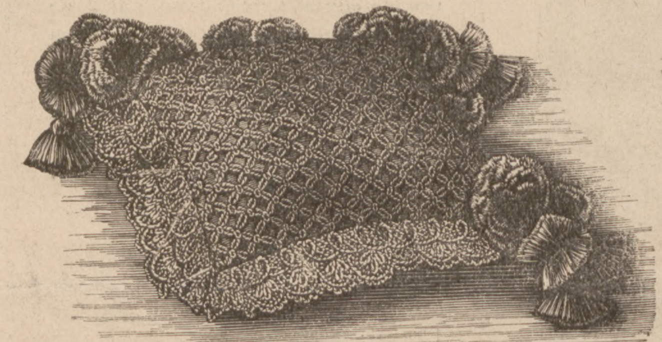


N. 8. Serweta haftowana. Patrz ryc. 12—13.

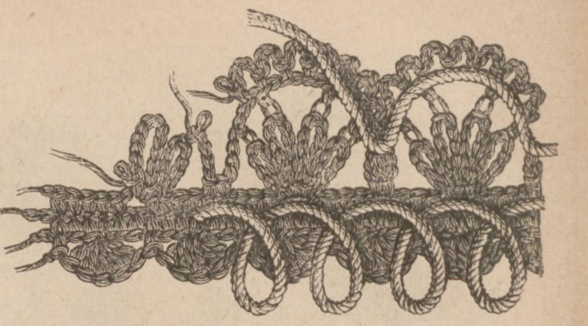
stanowi $5\frac{1}{2}$ cent. szeroka torsada szmuklerska i oszycie z piór 13 cent. szerokie.

N. 31—33. Paletocik jesienny.

Odpowiedni dla młodych szczupłych osób, odrobiony jest z materyału angielskiego w drobną kratkę, noppé, mieniącego się szewjotu lub t. p. Jedyne przybranie stanowią guziki i taśma którą objęte są brzegi w około.



N. 10. Poduszeczka do szpilek. Patrz ryc. 9 i 11.

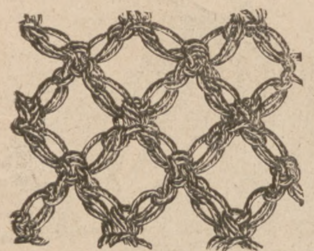


N. 9. Koronka szydełkowa do ryc. 10.

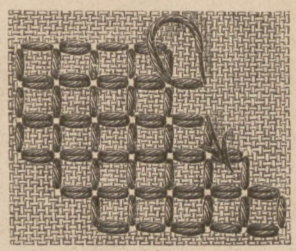
Ryciny 31—32 przedstawiają takiż paletocik z dodanemi częściami pelerynowemi które wpuszczają się w szew ramienia i w boczne szwy pleców.



N. 14 Suknia z szarfą.



N. 11. Robota szydełkowa do ryc. 10.



N. 12. Wyszycie siatkowe do ryc. 13.



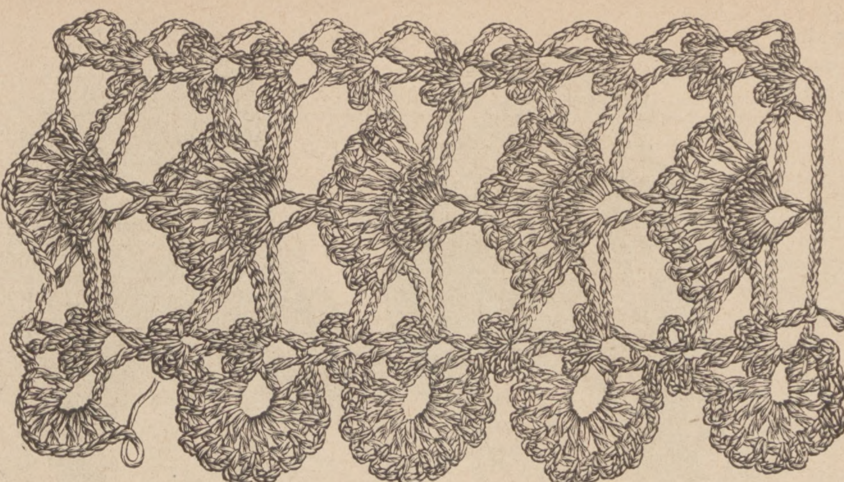
N. 13. Szlak haftowany do ryc. 8. Patrz ryc. 12.

Przepisy gospodarskie.

Pikle.

Naprzód wszystkie ingredyencye użyte do pików, pokłaść w osobne naczynia. Ogóreczki najdrobniejsze włożyć w miskę polewaną i posoliwszy zostawić na godzin 8, poczem zlać wodę, którą z siebie puszczą, i nalać czystym, przegotowanym, gorącym octem i znów zostawić na 24 godzin; po tym czasie znowu odcedzić, ocet zagotować i poparzyć nim wchodzące razem artykuły; jak: cebulki, szalotki, marchewka ładnie wykrawana, kukurydza młoda, taka co tylko znaczki ma ziarnka, grzybki drobne, rydze, pieczarki, fasola młoda, nasturcya nasienna lub pączki jej kwiatu, kalafiory, cząstkowo podzielane, polać gorącym octem, odlanym z ogórków, dodawszy do niego trochę soli. A na ogórki nalać octu świeżo gotowanego, tudzież wsypać nieco ałunu czyli w stosunku do garnca octu 16 gran ałunu; wreszcie zostawić to wszystko w occie przez dwa dni, odcedzić, układać w słoiki, zmięszać razem te ingredyencye i dodać strączek pieprzu tureckiego. Teraz mocny ocet przegotować z korzeniami, czyli z angielskim zielem, pieprzem, goździkami, imbierem, gałką muszkatołową, trochę czosnku i kawałkiem chrzanu. Tak przegotowanym octem i ostudzonym nalać pikle, obwiązać pęcherzem i w chłodnem a suchem trzymać miejscu.

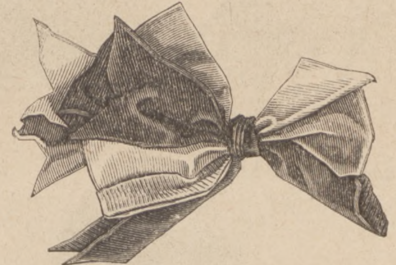
Przestroga: iż wszelkie słoje z piklami, marynatami, konserwami, konfiturami, należy obwiązać pęcherzem, poprzednio rozmoczonym i dobrze do sucha płótnem wytartym, pę-



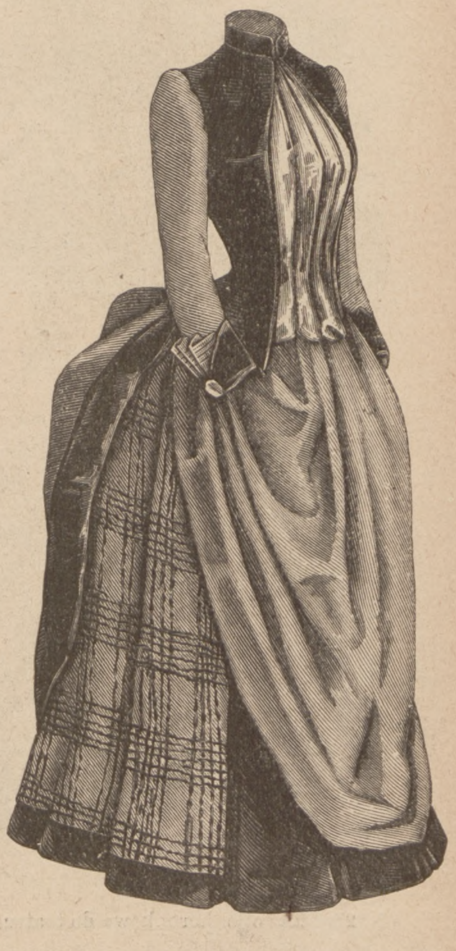
N. 15. Koronka szydełkowa robiona poprzecznie.



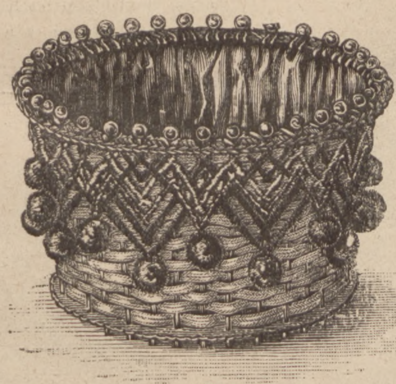
N. 16. Suknia z krótkim stanikiem. Patrz ryc. 2.



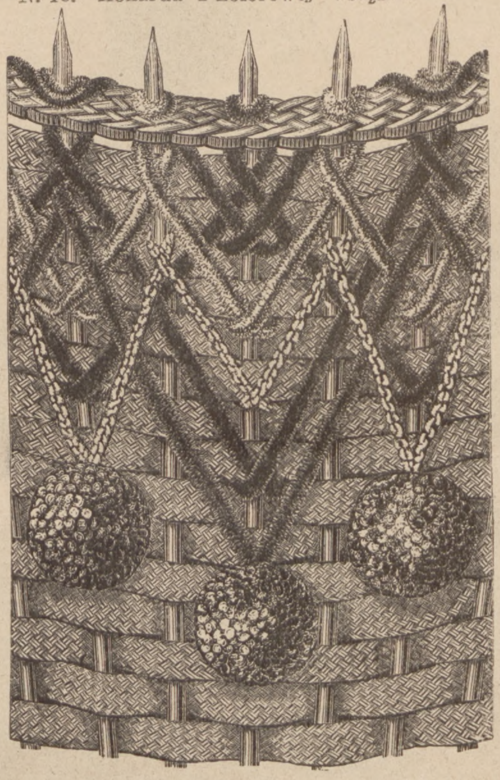
N. 18. Kokarda z kolorowej wstążki.



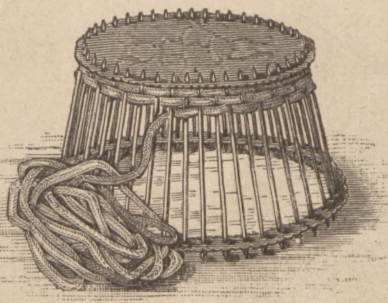
N. 17. Suknia z długą tuniką. Patrz ryc. 13 i 37 w N-rze 42.



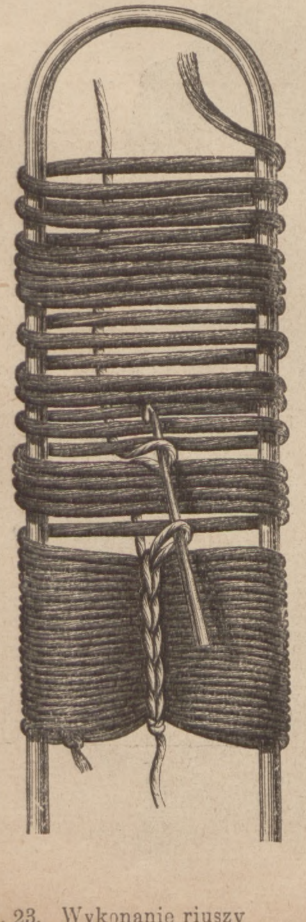
N. 19. Koszyczek do robót zdobny szenelą. Patrz ryc 20—21.



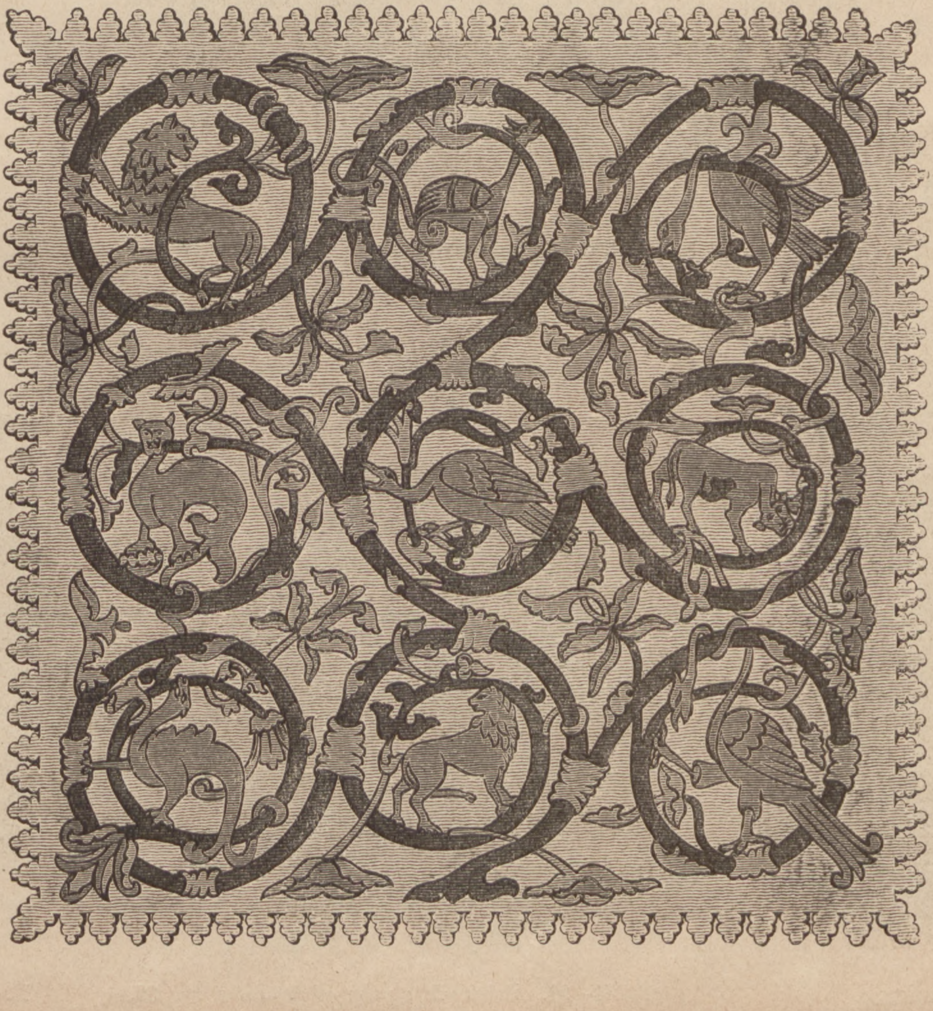
N. 20. Wyszycie szenelą do ryc. 19.



N. 21. Przewlekanie pletni w wełnianej, do koszyczka ryc. 19 i 20.



N. 23. Wykonanie riuszy wełnianej ryc. 24.



N. 22. Serweta malowana na skórze.



N. 24. Riusza wełniana. Patrz ryc. 23.

cherz zaś nie powinien dotykać tego co jest w słoju, a nim zostanie do sklepu wyniesiony, powinien dobrze uschnąć w pokoju. Miejsce gdzie mają stać



N. 27. Kapotka koronkowa do teatru.

konserwy, powinno być suche, chłodne a w zimie zabezpieczone od mrozów. Dobrze jest ustawiać słoje w suchym piasku; nawet pęcherz



N. 25. Kapotka dla dziewczynki. Patrz r. 28 w N. 42.



N. 26. Kapelusz filcowy dla dziewczynki. Patrz r. 29 w N-rze 42.

nim okryć dla zabezpieczenia od myszy i wilgoć też piasek wyciąga.

Konserwowanie cebuli.

Zanurza się cebula w wodzie wrzącej i zostawia w niej, póki nie ostygnie, potem złożona w miejscu suchem i przewiewnem, gdzie mróz dosięgnąć nie może, konserwuje się wybornie do nowej.



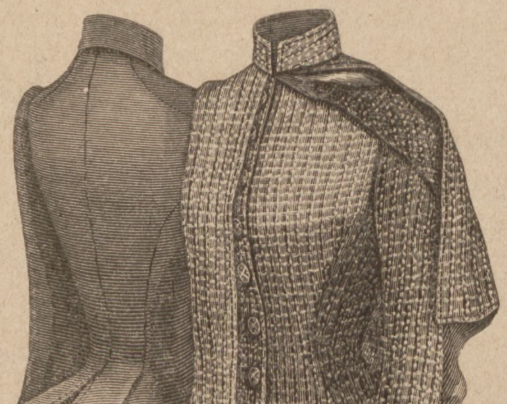
N. 28. Kapotka tiulowa do teatru.



N. 29. Stanik z plastronem i kołnierzem marynarskim. Patrz ryc. 22 w N-rze 42



N. 30. Okrycie krótkie jesienne.



N. 31—32. Paletocik z pelerynką. Patrz ryc. 33.



N. 33. Paletocik jesienny. Patrz ryc. 31—32.